

JERZY SZACKI

## O Leszku Kołakowskim (1927-2009): wspomnienie i odrobina komentarza

„Pisać o nim, to trochę jakby dokonywać spowiedzi publicznej; tak bardzo dla swoich przyjaciół stał się częścią ich życia”. Iluż znanych mi ludzi mogłoby swoje pisanie o Leszku Kołakowskim zacząć od tych zdań, które wyjąłem z jego wspomnienia o Tadeuszu Krońskim (Kołakowski 1989, I, 194)! Nie tylko tą częścią, w której spotykali go przy lada okazji, ale i tą nieporównanie, niestety, dłuższą, która upływała w przestrzennym odaleniu, chociaż w poczuciu nieprzerwanej wspólnoty duchowej i ciągłym zaciekawieniu: „Co u Leszka?”, „Co z Leszkiem?” i „Co na to Leszek?”.

Miałem to szczęście, że przynajmniej od czasu do czasu mogłem go tu czy ówdzie spotykać, a nawet spędzić z nim cały semestr w All Souls College w Oksfordzie, gdzie ostatecznie osiadł, nic nie zmniejszało wszakże świadomości zubożenia, którego doznałem na skutek jego odjazdu za granicę. Docierały wprawdzie do Warszawy jego emigracyjne artykuły i książki, lecz słowo pisane nie mogło zastąpić fizycznej wśród nas obecności, która (podobnie jak obecność kilku innych osób w 1968 roku wyrzuconych wraz z nim, lub wkrótce po nim, z Uniwersytetu Warszawskiego) powodowała, że wypadało więcej od siebie wymagać. Obieg owych artykułów i książek był zresztą, mimo wszystko, ograniczony i rosło pokolenie polskiej inteligencji, które Kołakowskiego znało co najwyżej ze słyszenia, albowiem nawet po powstaniu tzw. drugiego obiegu nie wszystko i nie wszystkim stało się łatwo dostępne.

Pozostało jednak całkiem wielu ludzi, dla których poglądy Leszka były niezmiennie nadzwyczaj ważnym układem odniesienia, nie zaś tylko wspomnieniem „(...) z czasu tak zamierzchłego, iż – jak napisał po latach – wolno podejrzewać, że go w ogóle nie było” (Kołakowski 1994a, 5). W latach siedemdziesiątych stał się za sprawą niektórych z nich żywą legendą opozycji demokratycznej, która zresztą bez jego inspiracji i wsparcia nie stałaby się tym, czym się stała. Jego w miarę częste od końca następnego dziesięciolecia powroty do Polski były powrotami, co się zowie triumfalnymi. Pierwszy po wielu latach przerwy wykład na UW zgromadził nieprzebrane tłumy, bo w środowiskach akademickich nazwisko „Kołakowski” zyskało moc magnetyczną, porównywalną (jeśli ograniczyć

---

Prof. dr hab. Jerzy Szacki, członek rzeczywisty PAN, Uniwersytet Warszawski, Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej w Warszawie

się do wybitnych jednostek bez oparcia w wielkich instytucjach) tylko z mocą nazwiska Czesława Miłosza.

Stał się jednym z najbardziej znanych Polaków i jedynym bodaj w polskich dziejach profesorem filozofii, któremu na wiadomość o jego zgonie najpoważniejsze gazety poświęciły swe pierwsze strony, nie budząc tym zdziwienia nikogo, kto interesował się naszą historią najnowsza i współczesną kulturą europejską, mając na uwadze cokolwiek prócz skaz w biografiiach zasłużonych rodaków. Podobnie bowiem jak po śmierci Miłosza, tu i ówdzie znaleźli się ludzie, którzy czekali wyłącznie na wypomnienie zmarłemu popełnionych przezeń grzechów.

Jakkolwiek uważam ich postawę za równie kuriozalną jak obrzydliwą, sam bynajmniej nie zmilczę owych „grzechów” czy też fatalnych błędów – tym bardziej, że on sam nie usiłował ich ukryć czy zbagatelizować (por. Kołakowski, I, 2007-2008). Co więcej, owe popełnione w młodości błędy pomagają zrozumieć ponad pół wieku jego późniejszej biografii intelektualnej, na którą w istotny sposób wpłynęło ich naprawianie. Polegało ono, z jednej strony, na wyjątkowo solidnym rozrachunku z komunizmem i marksizmem, którym z początku naiwnie zawierzył, z drugiej – na stopniowym przekształcaniu chrześcijaństwa (i religii w ogólności) z przedmiotu, naznaczonej otwartą niechęcią, analizy krytycznej lub, co najwyżej, czysto intelektualnej fascynacji w najważniejszy, być może, temat własnej filozofii, a poniekąd i jej natchnienie.

Nie chcę po raz kolejny roztrząsać przyczyn i okoliczności wielkiego złudzenia sporej w swoim czasie gromady europejskich intelektualistów, któremu uległ. Na ten temat napisano już, jak wiadomo, całą bibliotekę. On sam poświęcił mu sporo bezlitosnych dla siebie słów, nie szukając łatwego usprawiedliwienia faktu, iż przez szereg powojennych lat był rzeczywiście ideowym komunistą i w doktrynie marksistowskiej zauważał wyłącznie jasne strony.

Nie znałem Leszka w jego, tak już odległych, łódzkich czasach, kiedy przechodził najcięższe stadium swej rewolucyjnej „choroby”, której objawy bezbłędnie potem zdiagnozował. Nie znałem też zbyt dobrze jego warszawskich początków, bo jako student socjologii nie za często bywałem na filozoficznych wykładach i seminariach, których był gwiazdą. Kiedy spotkałem go pierwszy raz, najmocniej bodaj uderzyło mnie to, że niezupełnie pasował do tego wyobrażenia o komunistach, z jakim wpadłem siłą inercji z PPS do PZPR, nie spodziewając się po ludziach z b. ZWM i PPR niczego szczególnie dobrego. Był, co prawda, ciągle wielką „nadzieją partii” i dawał wystarczające powody, aby go tak postrzegano, ale na początku lat pięćdziesiątych widać było, że to nie tacy jak on dyktują ton orkiestrze.

Odbijał od tła ówczesnego aktywu zarówno większą ogładą, wykształceniem i logiczną kulturą, jak i tym, że posługiwał się językiem, na którym nawet wtedy, gdy mówił, w gruncie rzeczy, to samo, słabiej wyczuwało się nalot upowszechniającej się błyska-

wicznie „nowomowy”. Dobra polszczyzna była zawsze jego bardzo mocną stroną. Zdawał się też przykładać nieco większą niż inni wagę do merytorycznej argumentacji, o co, jak doskonale pamiętam, poniektórzy „twardsi” towarzysze miewali do niego pretensję, wytykając mu, że ideologicznych przeciwników krytykuje, zamiast po bolszewicku demaskować.

Wrażenie niejakiej odrębności Leszka nasilało się w miarę poznawania go bliżej i odkrywania na przykład, że jest obdarzony nieprzeciętnym poczuciem humoru, co stanowiło na ogół znak nieomylny, że ktoś nie najlepiej nadaje się na wzorowego komunistę i doktrynera, jak się patrzy. Okazją do bliższej znajomości stał się zarówno, nieuchronny na – nie tak wielkiej jak dzisiaj – uczelni, wzrost liczby wspólnych znajomych, jak i to, że z poręki dbających o moją przyszłość nauczycieli uniwersyteckich zostałem po magisterium ze zlikwidowanej dopiero co socjologii aspirantem przesławnej „szkoły janczarów” czyli Instytutu Nauk Społecznych (przedtem: Kształcenia Kadr Naukowych) przy KC PZPR, gdzie nieco starszy ode mnie Leszek zaczął kształcić się i pracować nieco wcześniej, już zresztą będąc świetnie zapowiadającym się asystentem UW. Później mieszkaliśmy przez jakiś czas blisko siebie (w trzecim kącie trójkąta mieszkał Broniek Geremek), a nie był to czas byle jaki, gdyż właśnie wtedy odbywała się przyspieszona reedukacja mojego kręgu, na którą autor *Czym jest socjalizm?* i *Śmierci bogów* (Kołakowski 1989, II) miał w niejednym wypadku wpływ przemożny.

Wspomniany wyżej instytut, uformowany na podobieństwo moskiewskiego Instytutu Czerwonej Profesury, był narzędziem pośpiesznego przerabiania na naukowców „nowego typu” co bardziej rozgarniętych ludzi aparatu partyjnego, jak również czynienia przykładowymi ludźmi tego aparatu kandydatów do pracy naukowej, początkujących przedtem w normalny uniwersytecki sposób. Ci drudzy jako „młodzi aktywiści” nie nabyli oni jeszcze stosownego stażu i „hartu”, przez co, jak powiadano, byli narażeni na niebezpieczną, bo prowadzącą do „ideologicznego mętniactwa” i wszelakich odchyień, dysproporcję między rozwojem naukowym i „dojrzewaniem” politycznym, które w oczach twórców tej osobliwej uczelni było najważniejsze. Katedra Historii Filozofii, mająca za szefa Bronisława Bączkę (potem, podobnie jak Leszek, emigranta), a za jeden z filarów właśnie jego, okazała się jakimś trafem dość sporym zbiorem osób należących do drugiej z wymienionych kategorii.

Chociaż podówczas Leszek nie był jeszcze przedmiotem szczególnej troski przełożonych, właśnie on uosabiał, jak się zdaje, wspomnianą dysproporcję w najdoskonalszy sposób. Jako potencjalny uczony wiedział już bowiem wówczas zadziwiająco dużo, od dziecka czytając, niczym John Stuart Mill, niezliczone księgi uczone w najróżniejszych, mało komu z nas znanych, językach, ale w „dojrzewaniu politycznym” wyraźnie jak gdyby się zatrzymał. W każdym razie, nie pamiętam, aby robił cokolwiek, by uczyć naszą grupkę czegokolwiek poza filozofią i utrzymywać w ruchu ideologiczny magiel, przez

który przechodziła. Nie znałem zbyt dobrze jego ówczesnego stanu ducha. Wiedziałem chyba jednak od początku, jak traumatycznym przeżyciem był dla niego, podobnie jak dla paru innych naszych nauczycieli, krótki pobyt w „bratnim” instytucie moskiewskim, gdzie zobaczył na własne oczy, co może nas czekać na drodze, na którą nieopatrznie weszliśmy. Jakikolwiek były początki marksizmu w PRL, trudno było zaiste wyobrazić sobie zawczasu owych „starszych braci”, dla których podstawowym problemem naukowym było przeważnie to, kogo i jak cytować, a najważniejszym źródłem wiedzy o świecie uchwały ostatniego plenum KC.

Wspominając dość obszernie o tym, co kazało mi widzieć w Leszku kogoś więcej niż całkiem zwykłego „bojownika na froncie nauki”, a nawet dostrzegać kontrast między nim a sporą (coraz lepiej przy publicznych okazjach widoczną) częścią środowiska, w którym obracaliśmy się przez owe lata umysłowego koszarowania, bynajmniej nie chcę pomniejszyć ani jego niewątpliwej przynależności do formacji określanej potem jako „pryszczaci”, ani jego mniej więcej dziesięcioletniego zaangażowania po stronie, którą potem uznał jak najśluszniej za złą. Wprost przeciwnie.

Tak czy inaczej była to w owym czasie jego strona, jakkolwiek się od niej wewnętrznie zaczynał dystansować, na razie zdobywając się wszakże jedynie na milczenie w niezręcznych dla rozumnego człowieka sytuacjach lub drwinę uprawianą w dość wąskim gronie przyjaciół, do którego należałem wówczas co najwyżej chwilami i początkowo jedynie pośrednio, jako dość bliski kolega bardzo bliskiego mu Pawła Beylina, wyróżniającego się szczególnym brakiem wymaganej przez zwierzchność powagi i notorycznego siewcy wątpliwości. Gdyby chciało się elegancko nazwać ówczesną postawę Leszka, najwłaściwszym zapewne byłoby – pochodzące od Władimira Jankélévitscha – określenie „ironiczny konformizm” (por. Konersmann 2009, 116), zastosowane przez francuskiego filozofa do starożytnego cynizmu. Sam, mimo odczuwanego raz po raz dyskomfortu, znajdowałem się podówczas po tej samej co Leszek stronie, acz na nieporównanie dalszym widoku i bez pomysłu na zmianę, na który on miał już wkrótce wpaść.

W omawianych czasach nie pozbył się jeszcze „racjonalistycznego”, jak mu się wydawało, zapamiętania, które za młodu pchnęło go zwłaszcza do wojny z chrześcijaństwem i Kościołem, która w ówczesnych warunkach nie mogła być sprawiedliwa nawet w wypadku, gdyby miał jako filozof rację. W – mocno już przecież „odwilżowym” – 1955 roku opublikował, wypominane mu potem niejednokrotnie, *Szkice o filozofii katolickiej*. Była to bez wątpienia książka poczęta z ducha „minionego okresu”, choć bynajmniej nie ignorancka i nie w każdej ze swoich tez zupełnie niesłuszna, jako że krytykowana w niej filozofia nie wyróżniała się nigdy wyłącznie zaletami i miewała naprawdę lichych przedstawicieli. Wiedział też lepiej niż inni krytycy religii, że ma ona „gnozeologiczne źródła” i odpowiada na pytania, na które, tak czy inaczej, trzeba odpowiadać. To jednak, czy w tej książce znalazły się jakieś trafne argumenty, nie miało i nie ma nic do rzeczy, jako

że była nie tyle głosem w merytorycznej dyskusji, ile opowiedzeniem po tej stronie „frontu ideologicznego”, po której znajdowały się największe i ciągle czynne armaty. Słusznie przeto – zawstydzony tym niezadługo – autor skazał swój książkowy debiut na zapomnienie, chociaż katolickie chrześcijaństwo pozostało dla niego bez wątpienia, niezwykle i niezmiennie ważnym, wyzwaniem intelektualnym, by nie wspomnieć o tym, że Biblia jako arcydzieło światowej literatury była dla niego zawsze najpiękniejszą książką. Nie poniechał przeto, rozpoczętego z wrogich pozycji, studiowania literatury religijnej, stopniowo obejmującego coraz to bardziej specjalistyczną literaturę teologiczną. Teologię traktował jednak coraz częściej jako swoistą odpowiedź na pytania *par excellence* filozoficzne, filozofia zaś coraz rzadziej wydawała się mu wyłącznie jej nieprzejednaną przeciwniczką.

Ale to inna historia, której nie potrzebuję tu opowiadać, gdyż znalazł się tak nieporównanie lepszy ode mnie narrator jak o. Jan Andrzej Kłoczowski, który z pozycji filozofa, będącego zarazem teologiem i człowiekiem Kościoła, prześledził pod tym kątem koleje myśli Kołakowskiego, dochodząc do, paradoksalnego tylko na pozór, wniosku, że wynik ostateczny wolno określić jako „katolickie chrześcijaństwo bezwyznaniowe” (Kłoczowski 1994, 2009).

Odpowiada mi ten wniosek, aczkolwiek uważam za stosowne mocniej zapewne podkreślać, że nie doszło do konwersji religijnej w znaczeniu ścisłym, albowiem Leszek uwierzył, w gruncie rzeczy, nie tyle w Boga, ile w nieuchronne zło świata bez Boga. Być może w jakimś momencie życia ucieszyłby się z „łaski wiary”, ale pozostał, jak się zdaje, niepoprawnym niedowiarkiem. Nie miał wszelako wątpliwości, iż chrześcijaństwo – bez względu na wszystkie swe widzialne słabości i ograniczenia – pozostaje nie tylko historycznym fundamentem naszej kultury, ale i niezbywalnym warunkiem jej trwania, gdyż tak jak każda inna ludzka kultura potrzebuje ona transcendencji i tradycji. Cokolwiek rozum mówi przeciwko wierze, nie zmniejsza to jej znaczenia – nie tylko społecznego, ale moralnego. Jeżeli wiary nie daje się racjonalnie uzasadnić, tym gorzej dla rozumu.

Inaczej mówiąc, nie byłoby wyrozumowanej, acz wspartej przez sentymenty, odnalezionej czasem w głębi duszy, wiary Kołakowskiego bez poczucia, że współczesnemu światu grozi barbarzyństwo, któremu nie podobna się przeciwstawić, posługując się samym tylko rozumem i kierując się wyłącznie tym, co zgodne z naukową metodologią. Nauka to z pewnością wspaniałe osiągnięcie ludzkie (Leszek serdecznie nie cierpiał jej postmodernistycznego postponowania), ale był od dawna głęboko przekonany, że niemożliwy jest żaden „naukowy światopogląd”, czemu dał wyraz w sporze zarówno z marksizmem, jak i pozytywizmem, którego analizą, ale i refutacją, była *Filozofia pozytywistyczna* (1966). Z tego powodu był takim osobliwym niedowiarkiem, którego przerażała myśl, że mogłoby zabraknąć religii.

Tyle na temat „konwersji” Leszka, która zresztą nadeszła bynajmniej nie od razu, ponieważ, zanim zbliżył się na swój sposób do katolickiego chrześcijaństwa, uprawiał najpierw przeróżne „igraszki z diabłem” oraz „ku pouczeniu i przestrodze” snuł w *Kluczu niebieskim* „opowieści biblijne” (Kołakowski 1964)), które nie bez racji bywały nazywane „wolteriańskimi”, następnie zaś, dość jeszcze abstrakcyjną, refleksję na temat „obecności mitu”. Ta refleksja nie musiała wszakże doprowadzić tam, gdzie doprowadziła, gdyż mogła zatrzymać się, dajmy na to, w okolicy filozofii religii Eliadego i nie pociągnąć za sobą wzywania na pomoc chrześcijańskiego Pana Boga i wspomnienia obszerniej o katolicyzmie. Okazało się, że Leszek potrzebował czegoś więcej. Trudno dokładnie określić, kiedy się okazało. W każdym razie, stało się oczywiste od momentu publikacji bardzo ważnej „książeczki” *Religion* (1982), którą polscy czytelnicy poznali trochę później pod tytułem *Jeśli Boga nie ma...* (Kołakowski 1987).

To była bardzo długa droga – niełatwa zaiste do pojęcia, a czasem wręcz niepokojąca, dla tych przyjaciół Leszka, którzy byli skłonni się lękać, że lada chwila odzegna się od swej programowej *Pochwały niekonsekwencji* i wyprze się każdego zdania swojej *Etyki bez kodeksu*, popadając w najprawdziwszy konserwatyzm religijny. Czytając niektóre jego wypowiedzi, mieli zaiste powody do takich obaw, choć mieli nadzieję, że raczej ich mimowolnie prowokuje niż wzywa, aby poszli sobie do diabła, gdyż on znalazł sobie lepszych przyjaciół. Ta nadzieja spowodowała, iż – poza niezłomną w swym ateizmie Heleną Eilstein (Eilstein 1991) – nie wdawali się na ogół w zasadniczą polemikę z jego nowymi poglądami, wybierając raczej utrwalanie sobie w pamięci poglądów poprzedzających „nawrócenie”, których najlepszym manifestem była rozprawa *Kapłan i błazen*. W tym środowisku poszukiwanie Boga przez Leszka znajdowało chyba na ogół więcej wyrozumiałości niż zrozumienia, chociaż bynajmniej nie sądziliśmy, iż religia to po prostu zabobon, a Kościół to koniecznie Ciemnogród, wiedząc coraz lepiej, jak anachroniczne są poglądy tego rodzaju.

Wspomniane obawy okazały się jednak płonne. Leszek ani nie odkrył dla siebie uroków wyznaniowości (czy, tym bardziej, powabów państwa wyznaniowego), ani nie przestał, w gruncie rzeczy, być sceptykiem, którym żeśmy go znali i najbardziej lubili. Przekonują o tym m.in. artykuły zebrane w jego ostatniej, wydanej pośmiertnie, książce (Kołakowski 2009), gdzie już na pierwszej stronie można przeczytać: „Jak we wszystkim prawie, com pisał w ostatnich latach, nie potrafię w sprawach najważniejszych dotrzeć do konkluzji ostatecznych i ciągle potykam się o kłopoty, które trzeba wyminąć niezręcznym i uciekinierskim powiedzeniem «z jednej strony..., ale z drugiej strony...». Być może jest to przypadłość czy raczej ułomność autora, być może jednak ...przypadłość bytu”. Taki był Kołakowski, który do „ostatecznej” konkluzji doszedł w życiu tylko raz i potem tego żałował.

Odsyłając w sprawach jego stosunku do religii i chrześcijaństwa do wspomnianej wcześniej książki o Kłoczowskiego, który przebyta przezeń drogę prześledził z niebywałą skrupulatnością, zauważę tylko jeszcze, iż na jej przebieg niemały wpływ miało przypuszczalnie pojawienie się na tronie papieskim Jana Pawła II, którego Leszek poznał jeszcze jako Karola Wojtyłę, a w watykańskich latach spotykał bodaj nierzadko nie tylko przy okazji długich dyskusji w Castel Gandolfo, organizowanych przez wiedeński Instytut Nauk o Człowieku, którego obaj byli, tak lub inaczej, patronami. Prócz tematów do rozmowy na wszelkie tematy łączył ich przeogromny lęk o przyszłość kultury, jak również nostalgia za ojczyzną. Trzeba wspomnieć także o wpływie tych duchownych i katolików świeckich, którzy, nie szczędząc mu zrazu krytyki (por. Tischner 2002), wyszli mu na spotkanie i obdarzyli przyjaźnią, nie zaś tylko tą odrobiną sympatii, jaka należała się z ich strony wszystkim uczestnikom antykomunistycznego przymierza.

Najdokładniej znam sam początek drogi Leszka do zostania ideowym, choć nieodwołalnie bezwyznaniowym i krytycznym, chrześcijaninem. Początkiem tym było, co oczywiste, zerwanie z komunizmem i marksizmem. Odkonano się ono zgodnie ze znanym z mnóstwa biografii schematem, ale się w nim ewidentnie nie mieściło. Jako człowiek wyjątkowo dociekliwy i pryncypialny Leszek nie potrafił mianowicie po prostu odżegnać się od swych wcześniejszych poglądów i czynów, przechodząc jak gdyby nigdy nic do głoszenia i robienia czegoś coraz bardziej przeciwnego, lecz uznał za swój obowiązek obnażenie natury fatalnego błędu, jakim był dokonany przezeń za młodu wybór światopoglądowy. Nie mógł zostać tuzinkowym byłym komunistą, który pewnego dnia białe nazwał czarnym, a czarne białym, i co najwyżej mocniej lub słabiej się pokajał, niekoniecznie zmieniając, tym samym, właściwy komunizmowi styl myślenia. Podjął ogromną pracę intelektualną, aby ten styl dogłębnie przeanalizować i naprawdę przezwyciężyć, wydobywając w pełni na jaw zarówno jego osobliwości i godne pożałowania skutki, jak i historyczną genezę, której człowiek rozumny nie może zredukować do odwiecznych knoń przyjaciół Antychrysta i wrogów ojczyzny.

Pracę tę zaczął prowadzić jako partyjny rewizjonista, który wbrew faktom, coraz lepiej sobie znanym i coraz częściej nazywanym przez siebie po imieniu, raczej goślawnie zapewnia, że „socjalizm jest to naprawdę dobra rzecz”; kontynuował zaś jako wyzwolony ze złudzeń intelektualista – autor niezliczonych esejów krytycznych i, przede wszystkim, rozpoczętych jeszcze przed emigracją, *Głównych nurtów marksizmu* (Kołakowski 1976-1978), czyli najpełniejszej i najbardziej gruntownej do tej pory odpowiedzi na pytania o genezę i historyczne losy doktryny Marksa oraz rodzaj zawartych w niej trucizn. Został antykomunistą, który lepiej niż ktokolwiek inny wie, co i dlaczego odrzucił, i jest antykomunistą bynajmniej nie dlatego, że postanowił równie bezkrytycznie uwierzyć w coś innego, oraz mniema wraz z większością ludzi prawicy, iż, aby osiąść mądrość, wystarczy przekląć marksizm oraz uchylić raz na zawsze wszystkie pytania,

jakie kiedykolwiek postawili ludzie lewicy. Przygoda z komunizmem skutecznie uodporniła go na łatwiznę i wszelki możliwy dogmatyzm.

W krytyce lewicy popadał wprawdzie czasem w niejake zaciętrzewienie, ale nie trudno mu to wybaczyć, jeżeli się wie, jakie androny zdarzało się pleść jej nowym przedstawicielom, którzy zresztą początkowo spodziewali się ku zgrozie Leszka, że jako sławny rewizjonista i „urodzony buntownik” będzie ich sojusznikiem. Nie mogli jeszcze wiedzieć, że, jeżeli w ogóle będzie, mimo wszystko, jakimś socjalistą, to co najwyżej „konserwatywno-liberalnym” (Kołakowski 1984, 203-205), co nawet wtedy, gdy później ogłaszał swą deklarację w tej sprawie, musiało się wydawać wyjątkową ekstrawagancją. Krótko mówiąc, Leszek okazał się kłopotem nie tylko dla starej, ale i nowej lewicy, której powiedział sporo gorzkich słów. W złośliwej *Wielkiej encyklopedii filozofii i nauk politycznych* (Kołakowski 1999) nie uwzględnił wprawdzie, niestety, Sławoja Żiżka, ale nietrudno zgadnąć, jak brzmiałoby odpowiednie hasło.

Nad rewizjonizmem jako takim nie ma co się rozwodzić, bo to zamierzchła, bądź co bądź, przeszłość. Powstałe pod jego znakiem teksty Kołakowskiego, zawarte na przykład w *Światopoglądzie i życiu codziennym* (Kołakowski 1957) i drugim tomie *Pism rozproszonych* (Kołakowski 1989), były w swoim czasie wprawdzie dla zdolnych do autorefleksji ludzi lewicy niezapomnianą lekcją krytycznego myślenia i nie utraciły do dzisiaj intelektualnego i literackiego wdzięku, ale znajdowały się dopiero na progu prawdziwej niezależności. Miały za punkt wyjścia trzy ewidentnie fałszywe założenia (nie wchodzę o to, w jakim stopniu przyjęte z głębokiego przekonania i przejściowego niedostatku lepszego słownictwa, w jakim natomiast tylko z cenzuralnej konieczności pozostania w granicach upominania się o demokratyzację, a nie demokrację, to bowiem zmieniało się z miesiąca na miesiąc).

Według pierwszego z owych założeń toczący się spór dotyczył czegoś, co jest w jakimś stopniu do naprawienia, choć „odnowa” wymaga herkulesowej zaiste pracy; według drugiego – ludzie dzielą się, najogólniej rzecz biorąc, na bardziej lub mniej oświeconych zwolenników postępu i resztę, z którą wciąż nie bardzo jest o czym rozmawiać, chociaż coraz lepiej wiadomo, że to ona miała rację, konsekwentnie nazywając zbrodnie zbrodniami; według trzeciego – diatryby garstki intelektualistów, którzy pojęli prawdziwy „sens ideowy pojęcia lewicy” oraz odkryli, co w marksizmie aktualne, a co nieaktualne, mogą jakoś wpłynąć na politykę realną i mieć następstwa poważniejsze aniżeli administracyjne zamknięcie im ust oraz oddanie pod stały nadzór policji politycznej. Przemiany zwane październikowymi zmieniły w Polsce bardzo dużo, ale nie aż tak dużo.

Kołakowski jako jeden z pierwszych zdał sobie sprawę z fałszywości rewizjonistycznych założeń. Nieuchronnie odkrył zarazem, iż – poza dalszym uprawianiem własnego uniwersyteckiego ogródka, gdzie dojrzewały jego coraz poważniejsze dzieła o filozofii i myśli religijnej XVII wieku, odbywała się eksploracja najnowszej myśli europejskiej



(głównie francuskiej) oraz, co zapewne najważniejsze, kiełkowała oryginalna filozofia kultury (Flis 1994) – pozostaje mu tylko dawanie moralnego świadectwa i zabranie się w stosunkowo niedalekiej, jak miało się okazać, przyszłości do pogłębionej analizy teoretycznych podstaw ideologii, którą teraz krok po kroku odrzucał.

Dawanie świadectwa skończyło się tak, jak nieuchronnie musiało się skończyć, zważywszy miejsce i czas akcji oraz naturę systemu, przeciwko któremu Leszek się zbuntował. Został z hukiem usunięty z partii oraz ostatecznie zepchnięty na polityczny margines. Może nawet dziwić, że stało się to dopiero po dziesiątej rocznicy Października, chociaż za mniej niż to, co powiedział lub usiłował publicznie powiedzieć w 1956 roku i paru następnych latach, w niejednym kraju komunistycznym poszedłby od razu do więzienia, jak stało się to w NRD ze znanym nam Wolfgangiem Harichem.

Tolerancja władz PRL była wszakże pozorna, gdyż polegała głównie na większym i dłuższym niż gdzie indziej zachowywaniu pozorów. Leszek nie tylko utracił możliwość przemawiania pełnym głosem, ale i był coraz częściej narażony na wietrzenie przez władze treści wywrotowych nawet w jego stosunkowo niewinnych politycznie tekstach filozoficznych. Samo nazwisko zrobiło się trefne. Trzeba wspomnieć, że uczyniono go przedmiotem coraz uciążliwszej z roku na rok inwigilacji, która skądinąd mogła ujawnić tylko to, co i tak było wiadomo, a mianowicie, że „figurant” wziął ostateczny rozbrat z komunizmem i, co gorsza, nie kryje przed nikim, że była to najmądrzejsza rzecz, jaką mógł zrobić, poznawszy pełniej jego pozbawioną propagandowych upiększeń praktykę i teorię.

Jakkolwiek wielkie okazały się osiągnięcia Leszka jako ówczesnego i późniejszego krytyka, a następnie pracowitego badacza komunizmu oraz stowarzyszonych z nim teorii i fantasmagorii, głupstwem byłoby poprzestanie na wskazaniu jego przeogromnej zasługi na tym polu. Ani przez chwilę nie był człowiekiem jednego tematu. Lubił mieć (przypomnę autoironiczny tytuł jego bardzo ważnego tomu) „słuszne poglądy na wszystko” i potrafił składnie pisać o wszystkim, cokolwiek przychodziło mu do fenomenalnie pojemnej głowy w toku niezliczonych lektur i rozmów. Uwielbiał też przeróżne zabawy literackie i filozoficzne, które miały dlań samoistną wartość, nie będąc za każdym razem narzędziem politycznie interesownej perswazji lub teoretycznych rozrachunków. Przede wszystkim, nieprzerwanie i zdumiewająco intensywnie, prowadził prace badawcze, nie zważając na, stwarzane mu raz po raz, utrudnienia wyjazdowe i wydawnicze.

Wielkim błędem byłoby zatem doszukiwanie się we wszystkim, cokolwiek napisał, odniesień do tego, o czym była mowa powyżej. W PRL czytelnik Kołakowskiego był, jak sądzę, nadmiernie skłonny szukać w jego tekstach aluzji i metafor. Nawet jego ezoteryczne, bo potwornie uczone, dzieło o bezwyznaniowym chrześcijaństwie XVII wieku bywało odczytywane tak, jak gdyby historyczna analiza niegdyśszych konfliktów heretyków z kościelną ortodoksją dotyczyła w istocie niedawnego zderzenia rewizjonizmu z „marksizmem instytucjonalnym”. Przyznaję, że sam nie umiałem się oprzeć takim skojarzeniom.

Ówczesny polski czytelnik miał do nich prawo, a i Leszek był świadom sposobu, w jaki go za panowania cenzury nierzadko czytano, i nie miał nic przeciwko. To była także jego zabawa jako autora *Klucza niebieskiego* i wielu innych przewrotnych utworów, który nie mógł wypowiadać się „otwartym tekstem”, a nie był jeszcze gotowy do przełamania tabu, którym pozostawało, i to nie tylko z powodu możliwych represji, pisanie z myślą o druku, dajmy na to, w paryskiej „Kulturze”. Czytało się ją wprawdzie z uwagą i sympatią, ale bez brania pod uwagę czegokolwiek poza kontynuowaniem, nawiązanymi przy rozmaitych okazjach, osobistych kontaktów z jej pojedynczymi ludźmi. Pamiętam, że przekroczenie przez Leszka po opuszczeniu kraju tego kolejnego Rubikonu było w moim kręgu wydarzeniem prawie tak ważnym jak jego znalezienie się na dobre poza partią i, niecałe dwa lata później, poza uniwersytetem, niezadługo zaś i poza PRL.

Nie zachęcałbym dziś nikogo, poza historykami, aby kontynuował lekturę tekstów Kołakowskiego sprzed emigracji jako napisanych ezopowym językiem przypowieści. Jest dostatecznie dużo powodów, aby sięgać po te utwory, abstrahując od ich pierwotnego kontekstu. Świadczy o tym zresztą najlepiej ich nieustające powodzenie na przepelnionym ksiązkami rynku i to również u czytelników, którzy o tym kontekście nie mają i nie chcą mieć zielonego pojęcia. Jest to po prostu dobra literatura, dobra publicystyka, dobra filozofia i filozoficzna historiografia, dobra popularyzacja wiedzy, a nierzadko wszystko to na raz. Pamiętajmy też, jak wiele Leszek napisał na emigracji, gdzie nie musiał już niczego owijać w bawełnę i korzystał z wolności prasy bez zahamowań zewnętrznych i wewnętrznych. Dobrze zrobił, wynosząc się z PRL – tym bardziej że – robiąc błyskotliwą karierę światową – nie przestał myśleć o Polsce i wiernie towarzyszyć tym wszystkim, którzy usiłowali zmienić ją na lepsze.

Nie myślimy jednak za dużo o politycznych zasługach Kołakowskiego. Chodzi o autora tworzącego rzeczy o znaczeniu dużo trwalszym niż jakakolwiek koniunktura polityczna. Gdyby pewnego dnia wszystko, co w jego twórczości czysto okolicznościowe, zaginęło, nie stałby się ani trochę mniej pierwszorzędny. Głęboko przeżywając sprawy bieżące i lokalne, stawiał pytania o ważności trwałej i uniwersalnej.

Dotrzymywał pod każdym względem kroku współczesnej sobie humanistyce, acz nie ulegał jej mnożącym się dziwactwom, z których nierzadko lubił się natrzęsać, lekceważąc raz po raz autorytet tego lub owego bardzo modnego autora i krzywiąc się z powodu dzisiejszej popularności Nietzschego czy Heideggera. Potrafił też stawić opór wszechwładzy wąskiej specjalizacji i tendencji do zwracania się wyłącznie, lub głównie, do uczonych kolegów. Rzeczywiście wiedział, jakie są nasze, nierozwiązywalne nigdy ostatecznie, „maxi-sprawy” (Kołakowski 1997, 1999, 2000), i *O co nas pytają wielcy filozofowie* (Kołakowski 2004, 2005, 2006), oraz jak mało kto potrafił o tym zajmując i odkrywczym mówić i pisać. Był mistrzem eseju filozoficznego, a kiedy tylko było konieczne potrzebował, także politycznego pamfletu. Całkiem mimochodem został nawet aforystą (Kola-

kowski 2000). Niepodobna tu zresztą choćby wyliczyć wszystkich gatunków pisarskich (i nie tylko pisarskich, jeśli pamiętać o pogadankach w TV czy też wywiadach), które, na zmianę lub jednocześnie, z powodzeniem uprawiał aż do ostatnich lat życia, kiedy, prawie już ślepy, gromadził i komentował z pomocą córki kolejne *Okruchy filozofii* (Kołakowski 2008).

W roli uczonego stał się najpierw historykiem filozofii o niezwykle szerokim zakresie zainteresowań i kompetencji, bo obejmującym nie tylko więcej epok aniżeli to zazwyczaj bywa, ale i rozległe pogranicza filozofii z innymi dziedzinami myśli, w które mało kto z historyków filozofii się zapuszcza, pozostawiając je innym specjalistom lub przedstawicielom wszystkożerne *intellectual history*. Mówiąc o tych innych dziedzinach, mam na myśli, z jednej strony, dość wczesne *opus magnum*, którym była *Świadomość religijna a więź kościelna* (Kołakowski 1965), powstała w czasie, gdy nie ustało jeszcze całkiem jego wędrowanie po rewizjonistycznych obrzeżach marksizmu, z drugiej – parę lat później zaczęte i wcześniej tu już z uznaniem wspomniane, dzieło fundamentalne, przedstawiające początki, rozwój i schyłek „naukowego” komunizmu. Przygotowywanie tego drugiego wymagało lektur jeszcze od „czystej” filozofii dalszych niż pisma najciemniejszych z mistyków, a w niejednym wypadku dużo od nich nudniejszych. Dziw bierze, że mniej więcej w tym samym czasie zajmował się poważnie także egzystencjalistami, pozytywistami i kim tam jeszcze.

On wszystko to potrafił przeczytać i zrozumieć równie dobrze jak wtedy, gdy później zajmował się Bergsonem, Husserlem czy, najbardziej chyba ukochanym, Pascalem. Nawiasem mówiąc, ewolucja jego sposobu czytania autora *Myśli*, przebiegająca od wyrafinowanego marksizmu Lucien Goldmana do pytania wprost o Boga i grozę jego nieobecności, unaocznia zapewne najlepiej rozmiar metamorfozy, o której niemal ciągle jest w tym artykule mowa.

Jako historyk idei Kołakowski był istnym geniuszem hermeneutyki, obdarzonym przy tym nieludzką pamięcią i pracowitością. Co najdziwniejsze, nigdy się swymi umiejętnościami i darami nie przechwalał, podobnie jak nigdy nie mówił, jak większość z nas, że jest okropnie zajęty. Miał czas jak gdyby na wszystko: literackie nowości, teatr, poezję, towarzyskie swawole. Oto dlaczego jego technika pracy pozostaje dla mnie zagadką, której nie umiem rozwiązać bez domniemania, iż w grę wchodził wpływ jakiegoś świeckiego Ducha Świętego. Bez tego założenia niepodobna też sobie wyobrazić, w jaki sposób potrafił aż tyle napisać, nie popadając w gadulstwo i powtarzanie w kółko tego samego, co przytrafia się, wcześniej lub później, niemal każdemu z nas, ale rzadko prowadzi do – często spotykanych u Leszka – usprawiedliwień z tego powodu. Jego teksty, pisane przy rozmaitych okazjach i dla rozmaitych odbiorców w różnych krajach, nieuchronnie nakładały się tu czy tam na siebie, ale to nie przeszkadza, jeżeli docenia się ich styl, który wyróżnia je równie wyraźnie jak zawarte w nich tezy i antytezy.

Nie tu miejsce, aby omawiać jego dorobek jako historyka filozofii i, szerzej, historyka idei, do czego mógłbym mieć naturalną skłonność, gdyż w tej właśnie sferze osobiście zawdzięczam mu, być może, najwięcej, a nawet bywam tu czy tam zaliczany do tej samej „warszawskiej szkoły historyków idei”, która, jak się zakłada, powstała w latach poprzedzających jego emigrację (Walicki 2007, Sitek 2000). Zauważę tylko, iż cokolwiek powiedziałoby się na temat owej szkoły, czy też „szkoły”, należałoby opatrzyć to przypisem, że należał do niej jeden prawdziwy filozof, który jako historyk wykonał wprawdzie olbrzymią pracę, ale miał w istocie przede wszystkim inne powołanie.

Bronisław Baczko, Andrzej Walicki czy Krzysztof Pomian są z pewnością wielkimi historykami i to wybornie znającymi się na filozofii, ale, chcąc ich dorobek opisać, nie musimy koniecznie wypytywać o ich własną filozofię. Taka prezentacja Kołakowskiego byłaby pozbawiona sensu lub mogłaby być co najwyżej jednym z rozdziałów jakiegoś dużo obszerniejszego studium. Chodzi mi, rzecz jasna, nie tyle o opatrzenie jego dorobku najbardziej stosowną etykietą, ile o podkreślenie, że nawet we wczesnych pracach, nacechowanych z pewnością „redukcjonizmem”, który skłaniał do uprzywilejowania problemu społecznej genezy i funkcji idei, nie zaś pytania o ich prawdę lub nieprawdę i sens ponadczasowy, zauważalne było dążenie do wyjścia poza ograniczenia formuły „byt określa świadomość” (Kołakowski 1965, 42) i zrozumienia, dajmy na to, że badane zjawiska religijne nie były tylko inwersją konfliktu społecznego, który z pewnością jakoś odzwierciedlały. Inaczej mówiąc, już wtedy pojawiły się pierwsze zwiastuny odkrycia „obecności mitu”, której żadną miarą nie potrafiały wytłumaczyć analizy czysto historyczne czy socjologiczne. „Zmysł metafizyczny” Leszka wcześniej dał o sobie znać, choć jego „historiografia ekspresjonistyczna” bezspornie wywodziła się z marksizmu, a wchodzenie po innej niż ongiś stronie w spór o przynależność zjawiska religijnego do „pierwiastkowej lub wtórnej warstwy doświadczenia” dopiero się zaczynało i nie wiedział jeszcze zbyt dobrze, co to jest *Horror metaphysicus*, który tak głęboko przeniknie jego późniejszą twórczość, a nie tylko szkice zebrane w książeczce pod takim tytułem (Kołakowski 1988, wyd. polskie 1990).

Cóż bez udawania, że znam się na filozofii, mogę powiedzieć sumarycznie o tej twórczości, poza tym, co już powiedziałem, oraz stwierdzeniem, że żaden humanista nie powinien jej ignorować, ponieważ stanowi jedyną w swoim rodzaju próbę odnalezienia sensu w doświadczeniach ludzi XX wieku i powiązania w jedną, nieuchwytną dla większości z nas, całość, rozbiegających się na wszystkie strony, wątków refleksji o ich sytuacji egzystencjalnej i dziejowej. Sam Kołakowski świetnie wiedział, że ta heroiczna próba się nie udała, a i podjął ją najpewniej bez nadziei na osiągnięcie takiego stopnia pewności, za jakim tęsknią, każdy na swój sposób, zarówno ludzie na wskroś religijni, jak i całkiem liczni wielcy filozofowie świeccy. Mógł wszakże umrzeć ze świadomością, że nie pomylił się, wybierając bezustanne szukanie.

Morał płynący z jego biografii intelektualnej daje się przeto streścić tak oto: warto jak najbardziej uporczywie szukać, broniąc się bez ustanku przed myślą, że nie ma niczego do znalezienia. Swoją rację mają filozoficzni sceptycy, swoją – mistycy, reprezentujący, wedle Kołakowskiego, najczystsza, a chyba i najmądrzejsza, odmianę religijności, beznadziejnie natomiast mylą się nihilisci.

Trzeba wciąż powracać do pytań fundamentalnych, które znalazły się u źródeł filozofii. Nie ma wprawdzie na te pytania odpowiedzi, niepodlegających zakwestionowaniu i dających się włączyć do, takiego lub innego, zamkniętego systemu, ale nie wolno zarzucać ich zadawania, bo od niego zależy samo istnienie kultury. „Kulturalna rola filozofii – pisał – nie polega na dostarczaniu prawdy, ale na pielęgnowaniu ducha prawdy” (Kołakowski 2000b, 59). Nie jest nam sądzone znalezienie absolutu („absolut to taka rzecz, o której nic, ale to nic nie można powiedzieć”), lecz biada nam, jeśli uwierzymy, że go nie ma i być nie może. Prawda przez bardzo duże „p” znajduje się nieuchronnie poza zasięgiem naszego ułomnego umysłu, ale to dążenie do niej i upominanie się o nią nadaje sens naszej egzystencji. Jej szukaniu nie wolno wyznaczać granic, jak robią to, z jednej strony, zwolennicy poglądu, iż żadnej Prawdy nie ma, z drugiej zaś wyznawcy prawd, które rzekomo już raz na zawsze znaleźli. Sprzeczał się z jednymi i drugimi, choć bardziej chyba nie lubił pierwszych.

W tym osobliwym połączeniu maksymalizmu z minimalizmem, absolutyzmu z relatywizmem, wybujałych ambicji poznawczych ze skromnością i trzeźwym rozpoznaniem nieprzekraczalnych dla człowieka granic, jestem skłonny widzieć kwintesencję sposobu filozofowania Kołakowskiego, świadomego przez całe swe w pełni, by tak rzec, „dorosłe” życie, zarówno pokus i niebezpieczeństw fundamentalizmu, jak i nędzy tych, którzy rezygnują z budowy i odnawiania fundamentów. Unieważnił on jak gdyby swą słynną antynomię „kapłana” i „błazna”, wykazując swoim przykładem, że prawdziwy filozof może, a nawet może i musi, pamiętać o – nieodpartej w istocie – potrzebie *sacrum*, o którego poszanowanie upominają się kapłani nie tylko w interesie wiernych wyznawców. Słusznie zatem przyznał pewnego razu, iż Abelardowski tytuł *Sic et non* nadawałby się na tytuł tego, co jako filozof powiedział (Kołakowski 2000b, 110-111).

## Bibliografia

- Czas ciekawy czas niespokojny. Z Leszkiem Kołakowskim rozmawia Zbigniew Mentzel*, Kraków: 2 tomy, Wydawnictwo Znak, 2007-2008.
- Eilstein Helena, *Jeśli się nie wierzy w Boga... Czytając Kołakowskiego*, Warszawa: Aletheia, 1991.
- Flis Mariola, *Leszek Kołakowski – teoretyk kultury europejskiej*, Kraków: Universitas, 1994.
- Gromadzki Stanisław (opr.), *Bibliografia wybranych prac Leszka Kołakowskiego* (do roku 2007), „Przegląd Filozoficzno-Literacki”, nr 3-4 (18), 2007 [numer specjalny poświęcony L. K.].
- Herczyński Ryszard, *Spętana nauka. Opozycja intelektualna w Polsce 1945-1970*, Warszawa: Semper, 2008.

- Kłoczowski Jan Andrzej OP, *Jeśli Boga nie ma*, „Gazeta Wyborcza”, 14-16 sierpnia 2009.
- Kłoczowski Jan Andrzej OP, *Więcej niż mit. Leszka Kołakowskiego spory o religię*, Kraków: 1994.
- Kołakowski Leszek, *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, London: Aneks, 1984.
- Kołakowski Leszek, *Czy Pan Bóg może być szczęśliwy i inne pytania*, Kraków: Znak, 2009.
- Kołakowski Leszek, *Filozofia pozytywistyczna (Od Hume'a do Koła Wiedeńskiego)*, Warszawa: PWN, 1966).
- Kołakowski Leszek, *Główne nurty marksizmu. Powstanie, rozwój, rozkład*, Paryż: Instytut Literacki, 1976-1978.
- Kołakowski Leszek, *Klucz niebieski czyli opowieści biblijne zebrane ku pouczeniu i przestrodze*, Warszawa: PIW, 1964.
- Kołakowski Leszek, *Mini-wykłady o maxi-sprawach*, 3 serie, Kraków: Znak, 1997-2000.
- Kołakowski Leszek, *Moje słuszne poglądy na wszystko*, Kraków: Znak, 2000a.
- Kołakowski Leszek, *Mysli szukane*, wybór Andrzej Pawelec, Kraków: Znak, 2000b.
- Kołakowski Leszek, *Obecność mitu*, Wrocław: Wydawnictwo Dolnośląskie, 1994a.
- Kołakowski Leszek, *O co nas pytają wielcy filozofowie*, 3 serie, Kraków: Znak, 2004b, 2005 i 2006.
- Kołakowski Leszek, *Okruchy filozofii*, Warszawa: Prószyński i spółka, 2008.
- Kołakowski Leszek, *Pochwała niekonsekwencji. Pisma rozproszone z lat 1955-1968*, 3 tomy, Przedmowa, wybór, opracowanie Zbigniew Mentzel, London: Puls, 1989.
- Kołakowski Leszek, *Szkice o filozofii katolickiej*, Warszawa: PWN, 1955.
- Kołakowski Leszek, *Świadomość religijna i więź kościelna. Studia nad chrześcijaństwem bezwyznaniowym siedemnastego wieku*, Warszawa: PWN, 1967.
- Kołakowski Leszek, *Światopogląd i życie codzienne*, Warszawa: PIW, 1957.
- Kołakowski Leszek, *Wśród znajomych. O różnych ludziach mądrych, zacnych, interesujących i tym, jak czasy swoje urabiali*, Kraków: Znak, 2004c.
- Konermann Ralf, *Filozofia kultury*. Wprowadzenie, tłum. Krystyna Krzemieniowa, Warszawa: Oficyna Naukowa, 2009.
- Sitek Ryszard, *Warszawska szkoła historyków idei*, Warszawa: Scholar, 2000.
- Tischner Józef ks., *Polski kształt dialogu (1981)*, Kraków: Znak, 2000.
- Walicki Andrzej, *Leszek Kołakowski i warszawska szkoła historyków (1984)*, „Przegląd Filozoficzno-Literacki”, nr 3-4 (18) 2007.

### Leszek Kołakowski (1927-2009): Remembrances and some comments

Author tells the story of his close and very long-lasting acquaintance with Leszek Kołakowski as well as commentates on his intellectual biography and achievements as political and literary essayist, philosopher, historian of ideas, and public figure. In particular he describes in details the first half of Kołakowski's life, namely the period when he made his long journey from being communist in his student years to becoming as a young scholar the leading figure of Marxist revisionism in the late fifties and after a time a principled critic of Marxism itself and a fervent anti-communist. In many respects Kołakowski's itinerary was not exceptional but it had at least two noteworthy characteristics. First, in opposition to quite a few other cases his way away from communism turned out to be scholarly fruitful as it resulted in an uniquely in-depth historical research covering the founders, the golden age and the breakdown of so called "scientific

socialism” (his voluminous work *Main Currents of Marxism* remains one of the best and the most comprehensive monographs of the topic). Second, Kołakowski’s abandoning of his former *Weltanschauung* was followed by his discovery of religion as an extremely important part of human experience and sine qua non condition of the survival of civilization permanently menaced by barbarians. However it is to be doubted whether he may be considered as a convert or a religious thinker in the strict sense of the word since he believed in horrors of the absence of God rather than in the real presence of his in the world. As defender of transcendence and tradition Kołakowski certainly became a kind of catholic-Christian without denomination but as a critical philosopher remained at the same time highly sceptical about everything. Dreaming of solid fundamentals he was all his life an uncompromising enemy of any fundamentalism. Being nostalgic about the Absolute he was incurable antiabsolutist.

**Key words:** censorship, Christianity without denomination, communism, contemporary culture, democratic opposition in Poland, heresy, history of ideas, the left, Marxism, philosophy, religion, revisionism, Roman-Catholic Church, skepticism

